Rok XVI. We Lwowie, dnia 29. maja 1908. Nr. 22.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Znaczenie kas Raiffeisena w parafii.

Od roku 1890 poczynają powstawać w Galicyi coraz liczniej Spółki Raiffeisenowskie, które w szeregu instytucyi, pracujących nad podniesieniem materyalnem i moralnem naszego ludu, spełniają znakomicie swoje zadanie. Spółki te zawiązują drobni rolnicy, a mają one dwa główne zadania, t. j. przyjmowanie wkładek i udzielanie pożyczek; stąd i ustalona dla tych kas nazwa brzmi: »Spółki oszczędności i pożyczek«.

Z początku lud wiejski okazywał pewną nieufność do tych nowych instytucyi, dziś coraz tłumniej do nich się garnie, widząc dobroczynne skutki ich działalności. W pierwszym rzędzie krzewią kasy te wśród ludności włościańskiej ducha oszczędności. Kiedy tych kas u nas nie było, szły pieniądze, jakie wpływają dzisiaj do kas, przeważnie na marne. Bo trudno przecież było żądać, żeby włościanin z każdą drobną kwotą zaoszczędzoną spieszył do nieznanej mu, a nieraz daleko odległej kasy jakiej prywatnej lub miejskiej. Dziś kasy Raiffeisenowskie są na miejscu po wsiach, lub małych miasteczkach i pozostają w rękach osób znanych i zaufanych, najczęściej w rękach księży proboszczów i najpoważniejszych miejscowych gospodarzy: osobiste więc z a u f a n i e do zawiadowców Spółki przyczynia się niemało do wzrostu wkładek. Cnota oszczędności prawie nie była znana dotychczas wśród włościan. Jeżeli były tu i ówdzie jakie zaoszczędzone grosze, to leżały całemi latami schowane dobrze na dnie skrzyni, gdzie ani właścicielowi samemu, ani nikomu innemu nie przynosiły żadnej korzyści. Dziś kasa Raiffeisenowska nauczyła włościan, że każdy może mniejszą kwotę odłożyć, byle tylko potrafił powstrzymać się od wielu niepotrzebnych wydatków. Aby zaś włościanin mógł się powstrzymać od wydatków niekoniecznych albo nawet szkodliwych, musi wyrobić w sobie siłę w o l i i pozbyć się n a ł o g ó w, jak palenia tytoniu i używania alkoholu. A skoro chociażby jedna tylko jednostka w parafii przezwycięży siebie, to już inni pójdą za jej przykładem.

Niektóre Spółki nie tylko na starszych, ale także i na młodzież w tym kierunku oddziaływują. Członkowie bowiem Spółek zrzekają się dobrowolnie należnej im dywidendy od udziałów, a powstałą stąd sumę przeznaczają na 1 koronowe książeczki wkładkowe, które rozdaje się następnie dobrze uczącej się dziatwie szkolnej. Dziecko takie, mające już swą własną książeczkę wkładkową, stara się wkładkę powiększyć i każdy grosz otrzymany niesie do kasy. W ten sposób już w małą dziatwę wpaja się cnotę oszczędności.

Z zebranych wkładek gromadzą Spółki Raiffeisenowskie kapitały, których używają na udzielanie swoim członkom taniego kredytu, przez co wykorzenia się z parafii wszelkiego rodzaju l i c h w ę. Dotąd jedynem źródłem kredytu na wsi był żyd lub też jaki zamożniejszy wieśniak. Pierwszy brał procenty tak wielkie, że wołały o pomstę do nieba, drugi prócz procentów zabierał pola pod uprawę itp.

Kasa Raiffeisena kładzie tamę lichwie, a zarazem uczy pracy obywatelskiej. Spółkami kierują przeważnie księża i włościanie. A więc włościanie, którzy za pracę swą w zarządzie nie biorą żadnego wynagrodzenia, wyrabiają w sobie cnotę m i ł o ś c i b l i ź n i e g o. Ten duch miłości chrześcijańskiej bliźniego musi ożywiać Spółki Raiffeisenowskie — bo inaczej zamieniłyby się one w zwyczajne banki.

Musimy więc pragnąć, aby w niedługim czasie wszystkie parafie miały takie Spółki. *N.*

Nieco o Welehradzie i zjazdach welehradzkich.

(Ciąg dalszy).

W r. 1885 uczczono w Welehradzie uroczyście pamięć św. Metodego z okazyi 1000-rocznicy jego śmierci. Z różnych stron słowiańskich przybyły deputacye, niektóre z cennymi darami. Z Krakowa przywieziono Matejków obraz św. Cyryla i Metodego, poświęcony w Rzymie przez Leona XIII. Z Poznania przywieziono kosztowną

chorągiew z obrazem Matki Boskiej częstochowskiej z napisem: »Królowo korony polskiej, módl się za nami«! Z Prus zachodnich również chorągiew cenną z obrazem Matki Boskiej i napisem »Bogarodzica, dziewica« i t. d. Podobną pamiątkę przywieźli Czesi z Ameryki. Wszystkie te dary przechowują się dotąd jako cenne pamiątki we wspaniałej świątyni welehradzkiej[1]). Zjazd ludu nawet z dalszych okolic był olbrzymi pomimo, że władzom rządowym to się nie podobało i różnych używały sposobów, aby napływowi ludu przeszkodzić. Próbowano nawet owego znanego środka: że w okolicy jest jakaś zaraźliwa choroba. Wszystko to jednak nie powstrzymało pobożnego ludu od tłumnego nawiedzenia świeżo odnowionej świątyni. Jeden z wiedeńskich Würdenträgerów, hr. S. zgorszył się widokiem olbrzymich tłumów ludu odświętnie ubranego w narodowe stroje i miał się wyrazić » . . . aber das ist ein Nationalfest, keine Wallfahrt«. Pielgrzymka go nie zgorszyła, ale go zgorszył widok uświadomionego ludu słowiańskiego w różnych słowiańskich językach się modlącego i śpiewającego.

Jak niechętnym był rząd wiedeński tym wspaniałym manifestacyom słowiańskim, wnioskować można z tego, że ś. p. biskup Strossmajer w tymże roku (1885) otrzymał »Wink von oben«, aby do Welehradu nie zjeżdżał i nie pojechał, dopiero aż w kilka tygodni po wszystkich obchodach i to incognito.

Dla utrwalenia pamięci tej uroczystości, założonem zostało w tym roku bractwo kościelne pod nazwą »Apostolstwo św. Cyryla i Metodego«, którego celem według brzmienia statutu jest: »rozkrzewiać, bronić i popierać świętą katolicką wiarę między Słowianami, oraz przedsiębrać i podejmować wszystko, co ku temu celowi może służyć, zgodnie z istniejącymi w tym względzie przepisami Kościoła«. Cel to prawdziwie wzniosły i szeroko zakreślony. Jak Niemcy protestanci mają swoje hasło »los von Rom« i nad jego szerzeniem pracują wśród katolików niezmordowanie, tak przeciwnie ze sławnego Welehradu podnosi się głos potężny, nawołujący brać słowiańską ku Kościołowi katolickiemu i do jedności w nim. Głos ten nie jest głosem wołającym na puszczy, bractwo to bowiem działalnością swoją ciągle okazuje swoją żywość i racyę bytu. Żałować tylko należy, że nie jest tyle znane, ileby znane być powinno, gdyż zaprowadzone jest kanonicznie tylko w dyecezyi berneńskiej, ołomunieckiej i austryackiej części wrocławskiej. Jest jednak nadzieja, że niezadługo będzie wprowadzone i do Galicyi, gdyż starania w tym kierunku już przedsięwzięto. Objawami jego działalności są rekollekcye i missye, urządzane w kilku miejscach, jak w Welehradzie, w Przerowie. Nadto wspiera ono szkoły, kościoły, wspomaga misye na Bałkanie, a że one tam wsparcia potrzebują, to każdy łatwo zrozumie i przyzna. Również szerzy ideę Cyrylo-Metodejską przez urządzanie zjazdów welehradzkich. Przez Leona XIII. zostało obdarzone wieloma odpustami w nagrodę za swą zbożną czynność. Wszystko to są środki, mające prowadzić do ostatecznego celu, którym jest zjednoczenie Słowian we wierze św. Cel to zaiste wspaniały, każdy z nas mu przyklasnąć musi. Owszem, każdy z nas kapłanów Polaków powinienby całą duszą zająć się tem pięknem bractwem. Wszak my Polacy powinniśmy wśród rzeszy narodów słowiańskich wysuwać się naprzód, zdobywać sobie miejsce poczestne, a osiągnąć to możemy tylko wtedy, gdy będziemy współpracować dla tej wielkiej sprawy zjednoczenia. Praca to niełatwa, dzieło nie jednego, ale kilku pokoleń, ale czyż dlatego mamy opuszczać ręce, czy damy się wyprzedzić drugim? Spoglądajmy na sławny Welehrad i stamtąd czerpmy zachętę do pracy dla tej idei przez Leona XIII. tak bardzo umiłowanej! Niestety Czesi nas podubiegają. Oni tę pracę na »posvatnym« Velehradzie zabrali całkowicie niemal dla siebie, jak gdyby ją monopolem swym uczynić chcieli. Nie dbają o to, czy z pośród nas jaka jednostka pragnie na równi z nimi pracować dla idei Cyrylo-Metodejskiej, nie starają się o to wcale, aby nas do tej pracy przyciągnąć, bo czują u siebie sił dosyć. Wina po naszej stronie, bo gdybyśmy stanęli do pracy tłumnie, na równi z nimi, musieliby z nami się liczyć. A pierwsza rzecz to wpisywanie się liczne do Apostolstwa św. Cyryla i Metodego. Warunki i obowiązki są nader łatwe: każdy członek płaci 2 centy miesięcznie i odmawia codzień 1 Ojcze nasz, Zdrowaś, św. Maryo, św. Cyrylu i Metody módlcie się za nami[1]). Wszak to nie trudna rzecz przy jakiemś towarzyskiem zebraniu wśród braci kapłanów urządzić drobną, kilkucentową składkę i zebrany grosz posłać do Welehradu. Któż, jeżeli nie my księża, powinien być chętniejszy tej sprawie? Wszak idea łączności naszej polega przedewszystkiem na jedności wiary w Kościele katolickim. Tak przynajmniej my ją pojmować musimy i pojmujemy, niech się ludzie świeccy zapatrują na tę kwestyę z jakiego chcą stanowiska. Na skale Piotrowej nasz wspólny sztandar, tam nasze wspólne ocalenie! My kapłani, cośmy tak bardzo gorliwi w pracy pośród naszych owieczek, cośmy nieraz tak bardzo czuli na ich najdrobniejsze wykroczenia, dlaczegoż nie mielibyśmy być równie gorliwymi o chwałę bożą u dalszych naszych braci, u tych, którzy żyją w schizmie? Dajemy pieniądze na misye w Afryce — bardzo ładnie, ale czyż Bałkan nie bliższy naszemu sercu, niż np. Kongo?

Daj Boże, aby jak najprędzej otwarte były dla tego apostolskiego bractwa olbrzymie przestrzenie Rosyi!... W r. 1890 został oddany klasztor i kościół welehradzki w zarząd wraz z parafią OO. Jezuitom, a na tem zyskały, rzecz jasna, wszelkie zjazdy i pobożne pielgrzymki.

Tempora mutantur et... Austria mutatur in eis. Lud czesko-morawski i słowacki nieprzerwanie pielgrzymuje co roku do Welehradu, równie młodzież akademicka, teologowie zjeżdżają się tam i rząd wiedeński przestał jakoś na to wszystko krzywo patrzeć. Od 30. września 1904 do 30. września 1905 obchodzono w Welehradzie 25-letni jubileusz encykliki »Grande munus«. I oto podczas kiedy w r. 1885 wzbroniono biskupowi Strossmajerowi jechać do Welehradu, w r. 1904 we wrześniu przybył tam nuncyusz wiedeński Granito di Belmonte witany uroczyście przez tysiące zgromadzonego ludu i Austrya się nie rozpadła. Przyjazd nuncyusza na Welehrad w czasie olbrzymiego zjazdu ludu, uważają niektórzy za wy-

[1]) »Popis velehradskych pamatnasti«.

[1]) Zapisuje farni urad v Velehrade Morava.

padek niezmiernie ważny i przyznać chyba można, że bez znaczenia politycznego on nie jest, wnioskować z niego bowiem można, jak wielce zmieniły się od r. 1885 zapatrywania gabinetu wiedeńskiego na sprawy słowiańskie.

(Dok. nast.).

„Nasz kraj“.

Dziś, w czasach gorączki gwałtownie wzrastającej na każdem polu, stawia się wszystkiemu co z życiem ma styczność coraz to większe wymagania. Tak jest nietylko w życiu codziennem, w biurach, nauce, sztuce i literaturze, ale i w prasie. Jeżeli więc pojawi się w prasie nowotwór chorujący na postęp literacki i dziennikarski, a nie spełni żadnych koniecznych warunków racyonalnego swego bytowania wśród społeczeństwa, w takim razie powinien być postawiony pod pręgierz opinii myślących jednostek, a przedewszystkiem prasy. W tym bowiem wypadku nie wystarczy zdziwienie wśród społeczeństwa na taki występ, lecz koniecznem jest uznanie jego — mało powiedzieć, bezużyteczności i śmieszności, lecz nędzy i szkodliwości. Nowotworem takim, o którym obecnie zamilczeć nie wolno, jest »Nasz kraj«.

Po długich zapowiedziach pokazał się on w kwietniu b. r. na światło dzienne pod nowym komitetem redakcyjnym, którego kierownikiem jest p. Tadeusz Pawlikowski. Z »tygodnika illustrowanego« stał się »Nasz kraj« tygodnikiem »zdobnym« i to z wiele obiecującym dopiskiem: »poświęcony twórczości i kulturze«. Dawną nędzną szatę upiększoną anonsami zamienił na okazałą, artystyczną; nie kwestyonujmy na razie tego, czy odpowiednią i zrozumiałą. Druk wspaniały, niebywałe winiety, »zdobniki« i inicyały, z których na wyszczególnienie zasługują stworzone przez p. Kunzeka, z powodu swej wielkości w rysunku, myślach i wyrazie wprost osłupiającej i z powodu swej lubieżności i zdegenerowania. Wyjąwszy nieskończoną jeszcze rzecz Sieroszewskiego, Rydla i Germana, wszystko tchnie tam taką pretensyonalnością do wielkości w treści i tonie, że się jest odrazu niemile dotkniętym. Czytając jednak dalej, spotkamy tam rzeczy, wobec których człowiek o jakich takich pojęciach estetycznych, literackich i etycznych, nie może się zachować biernie. Bo według etyki, a choćby i według ekonomii duchowej, społecznej nie wolno milczeć na reklamacye zła, brudu i podłości! Że to nie kalumnia, tego dowodem niech będą wynotowane pobieżnie miejsca z »Naszego kraju«, same najlepiej za swoją wartością mówiące.

W »Hejnale włóczęgi« pisze p. Glass (Nr. I. str. 6) prawdopodobnie o Wyspiańskim takie rzeczy:

»My — z żarów żar, my z piekieł piekło, dyabłu dzięki, potencyał jadu, nici pajęczej, miłości, mordu i rabunków, my, co tchu i po ostatnie tchnienie, zbuntowana ziemia wszystkich nasion piękna, ognia, możliwości...

Dusza...

Konam — tworzę. Nienawidzę — jestem!«...

I cóż powie na to człowiek znający Wyspiańskiego choćby z dzieł tylko?

Niejaki p. Kościelski (Nr. I. str. 13) w wierszu, któregoby ani »Śmigus« ani »Bocian« nie drukował, bo taki banalny, chce »dobyć«, naturalnie jakąś swoją nimfę »Z aksamitu sukni« — robiąc bezczelne porównanie: »jak ojce dobywali niegdyś karabeli«.. a kończy:

»jednem słowem: ty jesteś tylko pięknem cackiem,
»ale i piękne cacko jest rzeczą — prześliczną!«

To oburzające! I redakcya »Naszego kraju« ma odwagę te głupoty (i to pożal się Boże, w tak nędznej formie) drukować?!

»Jeżeli ta biała plama na okładce o głowie tylko jakiej takiej jest ukoronowanym orłem polskim, to jakież zdumienie ogarnie nas w chwili, kiedy czytając »Próbę bilansu« K. Srokowskiego (Nr. I. str. 22) takie rzeczy znajdziemy:

»Ponieważ nacyonalizm jest z natury rzeczy ideologią burżuazyi i wszelkie zaszczepienia go innym klasom, nie mogą się udać i są tylko albo romantyką młodości, albo szalbierstwem starości, przeto ta ogniowa próba wszelkich ideologii, którą była rewolucya, przyprawiła go o wewnętrze bankructwo treści, polegające na tem, że przestał on wypłacać kruszcem czynu te wszystkie banknoty, które ongiś wypuścił na rachunek odbudowania Polski«.

»Nacyonalizm, jako mniej lub więcej kulturalnie przejawiająca się energia całego narodu ma uzasadnienie i jest w danych warunkach koniecznym tylko na kresach, gdzie chodzi o obronę przed kapitalizmem obcym. Ale w miąszu narodu, w głównem ognisku jego pracy twórczej, jest nacyonalizm czynnikiem zupełnie bezużytecznym i tem szkodliwszym, że mając cele arystokratyczne t. j. dobro jednostek, lub tylko grupy czy jednej klasy społecznej na oku, posługuje się do ich osiągnienia metodami demokratycznemi, tj. urabianiem opinii publicznej w takim kierunku, aby egoistyczne cele grupy czy klasy uważała za najwyższe cele ogólne, którym interesy wszystkich innych klas powinny być podporządkowane«.

Te słowa wskazują nam chyba jaki grunt polityczny zajął »Nasz kraj«, co jeszcze wyraźniej wynika ze słów p. Ortwina (Nr. V. str. 95) wychwalającego »czerwone święto« 1. maja, który z wielkim gestem prawi o świętach narodowych i religijnych:

»Wszystkie inne (scl. w przeciwstawieniu do 1. maja) są pamiątkowym obchodem wspomnień historycznych, poświęconym rozpamiętywaniu przeszłości, w coraz dalszem oddaleniu ginącej. Są uświadomieniem pokoleń zmarłych, rozkopywaniem mogił, roztrząsaniem dziejów zapadłych, powoływaniem się do odpowiedzialności za wypadki, w których grze żadnego udziału się nie brało. Związek ich z powszednim tokiem czynności, z naocznym biegiem życia, z codziennym układem na własnej skórze odciśniętych stosunków, jest luźny i abstrakcyjny. Dominującą ich treścią są pierwiastki, moc swą i znaczenie czerpiące z poza obrębu rzeczywistego bytu ludzkości, z dali obłocznych, z mgieł i upiornych snów przerażonego losem swym człowieka, który na wytłumaczenie wiekuistych krzywd swych szuka odpowiedzi u widm i zmor z ślepej rozpaczy urodzonych«. »Źródłem tych świątecznych stanów jest służba misteryom tajemnym, zagadkowym, nieodgadłym i wszechpotężnym, wobec których dusza samotna wije się bezradna na łaskę cudu zdana«.

Ciekawa rzecz czy ten pan ma wyobrażenie tej »bezradności« dusz, które się na »łaskę cudu« zdają! Ale nic to dziwnego. Takie wycieczki są zupełnie w duchu »Naszego kraju«, który, jak dalej zobaczymy, drwi sobie z publiki i szydzi z wszelkich zasad moralnych i pojęć estetycznych zasadniczych. I pisze p. Ortwin (Nr. I. str. 95) o dniu 1. maja:

»Święto robotnicze jest uczczeniem człowieka i prometejskiej jego siły (— oh! jakże on drwi sam ze siebie i ze »swoich!) jest idealizacyą codziennej jego rzeczywistości, uświęceniem i apoteozą jego walki »jego trudu, mozołu, pracy żmudnej i niezmordowanej twórczości. Jest świętem nieustraszonej dumy, nieugiętej godności, niecofającej się energii, nieustannego rozwoju, zwycięskiego poczucia siły i męstwa. Święto pierwszego maja jest świętem dobroczynnego ognia, niewyczerpanej twórczości, niespożytych sił przyrody, wiosennych porywów nieśmiertelnego życia«.

I ten pan taki postępowy, chce może do pogaństwa czy panteizmu powrócić, co przecie już tak strasznie spleśniało! I te zachcenia drukuje tak ostentacyjnie postępowy »Nasz kraj«. Ach! Gdyby ten pan się przeszedł po Krakowie w dniu 1. maja! gdyby zobaczył na czerwonych afiszach 700 (!?) nazwisk z »partyi« (ludzi — Bogu ducha winnych, tak się rozumiejących na »komitetach« i »sprawach partyi«, jak »Nasz kraj« na estetyce prawdzie i etyce), a potem spotkał garstki popitych udekorowanych czerwono »towarzyszy« (niektórzy z nich się jeszcze księżom kłaniali — i to »towarzysze«?!), gdyby był widział z jak komiczną pompą małpowali »towarzysze« »burżujów«, tańcząc w parku Jordana, toby się pod ziemię schował, a nie idealizował tych śmieszności, które na szczęście są i tak na wymarciu! Ogromnie to jednak nieśmieszne! Tem bardziej, że w dniu święconym przez p. Ortwina z uniesieniem w »Naszym kraju« tygodniku lwowskim, w tym właśnie Lwowie udowodnili czynnie socyaliści apoteozowaną wolność, energię i świętość swej niezłamanej woli, mordując ludzi ze swej klasy, na ulicy, w biały dzień!!! I cóż napisze o tem ten sam pan w »Naszym kraju«?

Mając już wyobrażenie o pojęciach estetycznych i politycznych »Naszego kraju« zadajmy sobie jeszcze tyle trudu i cierpliwości, którąby wstręt pokonać było można — i przypatrzmy się jego wysokiemu poziomowi etycznemu.

Podkład ideowy stwarza pan Irzykowski, twierdząc w »Dwóch rewolucyach« pewny powrót obozu przybyszewczyków do władzy w sferach literackich (Nr. I. str. 10). Ponad p. Jaworskiego (Trzecia godzina« Nr. V. str. 85) opowiadanie nędzne i jeszcze nędzniej illustrowane o filozofującym idyocie i jego stosunkach z ladacznicą), ponad p. Żalnego, który w swej »Strasznej zagrodzie« (Nr. IV. str. 75) gra ciemnością krwawego przerażenia na histerycznych chyba nerwach czytelników, lub też może — któż wie? chce usprawiedliwić zbrodnię, przypuszczając w psychologii zbrodniarza siłę, która mimo jego rozum i wolę opanowywuje go tak, że on jest nią zmuszony do czynów okropnych i wstrętnych, ponad te wszystkie literackie powagi wypływa i króluje niepodzielnie malarz, krytyk p. Womela, twórca nieśmiertelnego »Polifemka«. Wielkość ta wstrętna chce przesadzić Zolę i Przybyszewskiego, lecz niedołężnym stylem i brakiem sensu ośmiesza autora, a jeszcze więcej »Nasz kraj«, który myśli, że zniszczy działanie takiej literackiej i moralnej nędzoty, przez głupkowate niby-listy (fabrykacyi p. Irzykowskiego), co jednak świadczy, że i redakcya czuła, iż zbyt wysoko wyleciał orzeł Womela (trzeba pisać jak o uznanej wielkości literackiej bez śmiesznego: pan!) w krainę wymarzonego świństwa i głupoty!

A jednak uznając Womelę, wydrukowała »Polifemka«. I ośmiel się tu kto pytać poco Polifemek robi płciowe obserwacye na zwierzętach i sobie, poco się bawił ze sroką, która mu wydziobuje oko i »odskoczywszy z trzymanym flakiem ze stołu, położyła go na ziemi, a widząc, że nie błyszczy, wyleciała na zewnątrz groty«. (To zacytowana próbka wykwintnego smaku Womeli).

Skoro się rzuci taki numer »Naszego kraju«, to człowiek jest oburzony na taką bezczelność nędznego piśmidła i jest zmuszony zamanifestować swój wstręt, by raz publiczność myśląca przestała pozwalać na drwiny ze siebie, rozumu, estetyki, literatury i podstaw etyki! Trzeba zaznaczyć, że te słowa nie są głosem jednostki, a co ważniejsza, że nie mogą pozostać głosem wołającego na puszczy, ale powinny sprawić konieczny i konsekwentny skutek. Bo nam, szczególnie dziś, nie wolno zamiast pracy, podnoszenia ducha i zogniskowania się, tracić czas i poświęcać całość naszych pojęć zasadniczych na urąganie ludzi, którzy myślą w swej bezczelności, że nikt się nie odważy zedrzeć z nich maski!..

Zaczem — napiętnujmy moralnie »Nasz — niewiem jakim prawem: »nasz« kraj« dowodząc tego czynnie przez stanowcze usuwanie go z pośród nas! *j. t.*

Stosunek sztuki do natury.

Bardzo często słyszy się i czyta zdanie, że artysta tem bardziej zbliża się do doskonałości, im lepiej odtwarza to, co widzi w przyrodzie, czyli że sztuka jest tylko »naśladowaniem natury«. Czują wprawdzie wszyscy, że wierne odbijanie przedmiotów nie może być jej celem, że ona jest tworem wyobraźni i czemś zupełnie różnem od fotografii; — a jednak wielu używa, mówiąc o stosunku jej do przyrody, wyrażeń, wziętych z zakresu przemysłu fotograficznego. Tak pisze np. p. Witkiewicz [1]): »Talent malarski można przyrównać do aparatu fotograficznego. Samą istotę talentu stanowi soczewka i płyta uczulona, zamknięta w ciemni i przyjmująca promienie światła z zewnątrz. Co się na niej odbije, zależy od upodobań tego, kto aparat na tę lub ową stronę świata skieruje. Otóż talentem malarskim kieruje dusza człowieka, który go posiada. Tym sposobem w każdem dziele sztuki malarskiej można odnaleźć to, co stanowi istotę sztuki, co jest i bezwzględnie być musi w każdem obrazie i rysunku, każdego absolutnie malarza bez względu na czas, w którym tworzył i naród, z którego wyszedł, a zarazem odnaleźć to, co stanowi indywidualną szczególność artysty«.

Na to jednak odpowiedział już bardzo trafnie p. Benedyktowicz [2]): »Jakiekolwiek będą upodobania artysty, choćby najgenialniejszego, kierowany przez niego przyrząd fotograficzny, obrócony w którąkolwiek stronę świata, nie odtworzy nigdy tego, coby sobie malarz... życzył, ale jedynie i wyłącznie to, co rzeczywistość z natury w obrębie danej okolicy, z wybranego punktu, na jego kliszy odbije. Talentu malarskiego nie można w żaden sposób porównać z aparatem fotograficznym, bo gdy po za soczewką ostatniego znajduje się uczulona płyta, odtwarzająca ślepo i dosłownie, co się w danym punkcie z na-

[1]) »Juliusz Kossak« (str. 262).

[2]) »Stan. Witkiewicz« itd. (str. 119—120).

tury w niej odbije, to po za soczewką ludzkiego oka jest umysł, obdarzony władzą samowiedzy i jest wyobraźnia, dozwalająca widzieć oczyma duszy takie obrazy, jakich malarz fizycznem okiem nigdy nie oglądał i jakie w soczewce fizycznego jego oka nigdy się nie odbiły«.

Ale i sam p. Witkiewicz wypowiada gdzieindziej zdania, sprzeciwiające się wprost temu, które przytoczyłem: »Trzeba się przyjrzeć pracy rzeźbiarza, chcącego wykonać posąg z drzewa, żeby zrozumieć, przez jaką twardą robotę rąk, przez jakie długie okresy czasu przechodzi to, co się poczyna w umyśle, jak błyskawica, co jest jednem drgnieniem czucia, jednem muśnięciem skrzydeł myśli« itd. »Z natury, to znaczy z życia, ze swojej duszy, z żywego świata zewnętrznego. Trzeba mieć w sobie świat myśli, uczuć, wyobraźni i trzeba znaleźć dla niego żywą i odpowiednią formę w świecie rzeczywistym«. W innem jeszcze miejscu czytamy, że są artyści, którzy »biorąc pewien kształt z natury, używają go jako znaku do wypowiedzenia swojej duszy, swego subjektywnego, uczuciowego stanu«[1]). Gdzież tu podziała się fotografia? — Czyż to nie znaczy, że artysta nie kopiuje natury? Mamy tu znowu próbkę owej niekonsekwencyi, w którą często wpadają artyści, piszący o sztuce. Oba twierdzenia p. Witkiewicza zawierają prawdę, trzeba tylko tę prawdę dobrze zrozumieć i ściśle określić: malarz i rzeźbiarz muszą koniecznie studyować naturę i do niej ciągle powracać, muszą uczyć się od niej anatomii, proporcyi, gry świateł i barw itd., bo wszakże ich postaci muszą być podobne do stworzeń żywych, ich ludzie nie mogą różnić się pod względem budowy i wyrazu od ludzi rzeczywistych. Ale z drugiej strony i to jest prawdą, że żaden artysta nie podaje nam zdjęć fotograficznych z natury, że każdy musi posiadać wyobraźnię twórczą i z własnej czerpać duszy, że każdy wyraża w dziełach swoich własne myśli, uczucia, nastroje, posługując się przytem formami, jakie znajduje w przyrodzie, ale przekształcając je w sposób właściwy jego geniuszowi.

Na to główny kładzie nacisk estetyka Eug. Veron'a (z której korzystał widocznie i p. Witkiewicz[2]): »Górującą stroną w dziele sztuki i nadającą mu charakter jest osobistość artysty... Cała wartość dzieła sztuki zawisła od stopnia energii, z jaką objawia się charakter indywidualny i estetyczne wrażenie twórcy... Artysta rzeczywiście wzruszony niechaj się tylko odda całkowicie swemu wzruszeniu a wnet udzieli się ono jego otoczeniu i wywoła oklaski, na jakie zasługuje... Jest on swobodny, bezwzględnie swobodny w swojej dziedzinie pod tym jedynym warunkiem, że będzie zupełnie szczery i że będzie starał się wyrażać własne myśli, uczucia, wzruszenia, nie naśladując nikogo«... Pejsaż nie jest według Veron'a niczem innem, jak tylko »wyrazem wzruszeń człowieka wobec natury«[3]) itd.

Wyrażenia te trafiają, jak sądzę, w samo sedno rzeczy. Niema bowiem prawdziwej sztuki w kopiowaniu rzeczywistości. Nawet na portretach, wyciska swoje piętno indywidualność artysty tak, iż na pierwszy rzut oka można odróżnić portret np. Rembrandta od wizerunków, malowanych przez Rafaela lub Tycyana. Malarz, któryby usiłował oddać na płótnie jak najwierniej wszystko, co w swoim modelu spostrzega, aż do najmniejszych plamek, piegów i zmarszczek na twarzy, zrobiłby obraz potwornie brzydki i odpychający. Najlepsi portreciści uwydatniają jedynie wyraz, temperament, charakter osoby, którą malują, resztę zaś tylko zaznaczają i umyślnie trzymają w cieniu, więc też ich dzieła różnią się pod każdym względem od reprodukcyi fotograficznych. Jest wprawdzie rzeczą dla sztuki możliwą, naśladować przedmioty rzeczywiste w sposób, wywołujący złudzenie zupełne; ale im lepiej to się uda (w panoramach lub gabinetach figur woskowych), tem bardziej uwydatni się różnica między takim utworem a dziełem geniusza. Kto bierze przedmiot namalowany za rzeczywisty, nie odbiera wcale wrażenia estetycznego, zarówno jak prostak, który, przypatrując się widowisku teatralnemu, sądzi, że ma przed sobą prawdziwych królów, bohaterów albo też morderców. »Dzieło sztuki powinno odrazu, na pierwsze wejrzenie, okazywać samym już materyałem, z którego powstało, kompozycyą i obramowaniem swojem, że nie jest przedmiotem rzeczywistym, ani częścią przyrody, lecz dziełem ręki ludzkiej, dziełem sztuki, a dopiero po tem wrażeniu powinno powstać w nas drugie, także konieczne, wrażenie prawdy i życia«[1]).

(Dok. nast.).

Z Barcelony.

(Korespondencya).

Ktoby sądził o Barcelonie z tego, co o niej piszą dzienniki, nawet madryckie, (które przecież powinny mieć najlepsze informacye o stolicy Katalonii), musiałby uważać podróż do tego miasta za przedsięwzięcie zbyt zuchwałe. Wszak czyta się o Barcelonie, że ludność jej żyje w ciągłej trwodze przed zamachami anarchistów, którzy niedawno uknuli spisek na życie króla a w ostatnich latach niejedną straszną popełnili zbrodnię. Jednego z nich, Juana Rull a, który w grudniu r. 1906, w styczniu i kwietniu 1907 zamordował z pomocą towarzyszy swoich kilku ludzi, skazano w ostatnim czasie przed Wnocą na »pięć kar śmierci«, a nadto na cztery kary więzienia 14-letniego itd. Wyrok ten sądu przysięgłych przyjęła publiczność, zgromadzona przed budynkiem trybunału, żywymi oklaskami, co dotąd nie zdarzało się w Hiszpanii, gdzie aż nadto litują się zwykle nad zbrodniarzami, ściganymi przez sądy; ale rewolucyoniści widzą w tym wyroku wielką niesprawiedliwość i nie przestają w pismach swoich wysławiać terrorystów, których przewódcą jest niejaki Lerroux, młodzież zaś, oświadczająca się za republiką, żąda stanowczo ułaskawienia Rulla!

Właśnie w czasie świąt wielkanocnych, które spędziłem tego roku w Barcelonie, odbył się kongres »młodzieży republikańskiej«, która głosi otwarcie hasła rewolucyjne. Wielka tu bowiem, zbyt wielka panuje wolność. Dzienniki piszą, co im się podoba, w stowarzyszeniach i na kongresach wzywa

---

[1]) »Juliusz Kossak« str. 71, 84, 135

[2]) Dzieło to przełożył na język polski A. Lange. (Warszawa 1892). Niestety tłumaczenie to jest pełne błędów, tak, iż czytanie jego nie należy do przyjemności.

[3]) Tamże str. 2—4.

[1]) Por. wyborny artykuł Roberta *de la Sizeranne* p. n. »Le geste moderne aux salons de 1905« w »Revue des deux mondes« (z czerwca r. 1905, str. 615).

się do przewrotu, ustawy są strasznie liberalne i pozwalają na jawne szerzenie demoralizacyi. Nawet w niedzielę wielkanocną sklepy były w znacznej części pootwierane, a w poniedziałek wszystkie, bo tego dnia tutaj wcale się nie święci za zgodą władzy duchownej! Wszędzie sprzedają obrazki pornograficzne — nagości bezczelne i romanse najgorszego rodzaju.

Dzienniki zamieszczają ohydne anonse, sprzeciwiające się kodeksowi karnemu, co im dotąd uchodzi bezkarnie (dopiero w ostatnich dniach, 5. maja b. r. wydał naczelnik prokuratoryi Javier Ugarte okólnik, który ma bezeceństwu temu położyć tamę).

To też nie można się dziwić, że wśród rzeszy robotniczej, którą tu liczą około 200 tysięcy (na ogólną liczbę mieszkańców 533 tys.), rozpowszechniła się niewiara i anarchizm zyskuje wielu zwolenników. Znaczna część robotników tutejszych czyni wrażenie przykre już zewnętrznym swoim wyglądem: twarze ich szczerniałe, zbolałe, — z wyrazem jakiejś rozpaczliwej zaciętości. Dla ludzi tych nie istnieją święta, ani niedziele, praca ich ciężka, zapłata nie wystarczająca na zaspokojenie potrzeb niezbędnych, a przytem budzi się w nich zazdrość i niechęć ku klasom posiadającym, kiedy widzą bogate wystawy sklepowe, piękne powozy i przejeżdżające w nich wystrojone damy, kiedy narzuca się im ciągle na głównych ulicach bolesny widok kontrastu pomiędzy nędzą ludu a zbytkiem bogaczy, których tu jest wielu.

Zdaje się także, iż mało kto zajmuje się tutaj pracą nad podniesieniem moralnem i gospodarczem klas niższych, chociaż dzienniki katolickie piszą o świetnym postępie akcyi społecznej w Hiszpanii i piszą zapewne prawdę, t. zn., że stosunkowo wiele w tym względzie robi się w ostatnich czasach, zakłada się stowarzyszenia robotnicze i t. d. Księży jest w Barcelonie dużo (zarzucają oni na sutannę długie czarne płaszcze, którymi obwijają się, jak Rzymianie togą, strój to bardzo poważny; birety zaś noszą całkiem różne od naszych, z rożkami, sterczącymi do góry i z dnem półkolistem, które u kanoników jest pokryte zielonym aksamitem), ale prawdopodobnie mało mają do roboty i mało troszczą się o zaprawienie ludu i młodzieży do życia pobożnego.

Taki przynajmniej wniosek nasunęły mi niektóre spostrzeżenia: w jednym z kościołów parafialnych zastałem w zakrystyi z dziesięciu chłopców hałasujących, nad którymi nikt nie wykonywał nadzoru i którzy, o ile mogłem zauważyć, nie poczuwali się do obowiązku wysłuchania mszy św. Modlitwy, przepisane przez Leona XIII., odmawiali księża po cichu, bez udziału wiernych, nawet zakonnice widziałem wychodzące z kościoła, zanim ksiądz skończył owe modlitwy. Nawet kobiety pobożne z ludu nie klękają, wchodząc i wychodząc z kościoła, przed Sanctissimum, tylko schylają głowę, zginając trochę kolano (co zauważyłem także u niektórych księży w kościołach hiszpańskich!). W innym kościele (św. Józefa) było lepiej, bo księża modlili się głośno wraz z ludem po mszy św. i nie pozwalali ministrantom w zakrystyi wykrzykiwać, ale i ci księża nie mieli co robić i nie wyglądali na gorliwych i poważnych pracowników w winnicy Pańskiej. Wiadomości ich z zakresu geografii i historyi są widocznie bardzo skąpe: kiedy im powiedziałem, że jestem z Austryi, spytali się, czy mój język ojczysty jest angielski (myśleli zrazu zapewne, że przybywam z Australii), potem pytali się, czy język polski różni się bardzo od angielskiego, czy w Austryi mówią wszyscy jednym językiem (!) i czy naród polski należy do katolickich (!).

W niedzielę wielkanocną byłem na kazaniu we wspaniałej katedrze. Wymowny kaznodzieja wykręcał się i rzucał, wywijając biretem, który trzymał ciągle w jednej ręce, spuszczając drugą niedbale po za ambonę (wbrew słusznym przepisom podręczników homiletyki). Niewiele rozumiałem, ale zdaje się, że były to znane frazesy o »Kościele wojującym« a w zakończeniu o »tryumfującym«. Śpiew w czasie sumy miał charakter czysto operowy; credo trwało ze 20 minut. Ludzi było dużo, ale wielu przeszło tylko przez ogromny kościół; inni klękali przed licznemi kaplicami, rzęsiście oświetlonemi.

Nie mógł mnie też zbudować sposób, jakim tu odprawia się pogrzeby. Na cmentarz jedzie się galopem; — dwaj księża, którzy uczestniczyli w jednym z pogrzebów, przyjechali w kapeluszach, — bez żadnych szat kościelnych i odmówili tylko krótką modlitwę nad trumną. Orszak pogrzebowy składał się z kilkudziesięciu panów (kobiety uczestniczą tylko wyjątkowo w orszaku pogrzebowym — widziałem też tylko jedną), których większa część przyszła na cmentarz, paląc papierosy, rozmawiając i nie okazując żadnego poważnego nastroju, rodzina zmarłego nie idzie tu widocznie na cmentarz.

Czyż wobec tego zbyt śmiałem i krzywdzącem będzie przypuszczenie, że pewna i może wielka część duchowieństwa hiszpańskiego nie dosyć poważnie pojmuje swoje obowiązki i przyczynia się do widocznego upadku wiary w Barcelonie i na całym półwyspie pirenejskim? Większość rady miejskiej barcelońskiej należy do obozu republikańskiego a zarazem bezwyznaniowego, czego dowiodła także w ostatnich dniach kwietnia, uchwalając nowy program reorganizacyi szkolnictwa, oparty na zasadach skrajnie »liberalnych«. Nie uwzględniono wcale memoryału protestującego, doskonale napisanego, który przedłożyło »kolegium proboszczów barcelońskich, a który bardzo zasługiwał na uwzględnienie. Rada miejska postanowiła dokonać wielkiego dzieła »kulturalnego« na podstawie autonomicznej, narodowej i bezwyznaniowej. Młodzież ma kształcić się w języku katalońskim, który różni się bardzo od hiszpańskiego (więcej niż ruski od polskiego): Bóg n. p. nazywa się po hiszp. »Dios« po katalońsku: »Deu«, katolicki po hiszp. »catolico« po katal. »catolich« itd. Dotąd uczono tylko katechizmu w języku katalońskim pomimo nacisku władz hiszpańskich, które żądały, żeby i księża posługiwali się w Barcelonie językiem, panującym w całej monarchii. Religia nie ma już odtąd należeć do obowiązkowych przedmiotów nauki, a nadto mają jej udzielać nauczyciele świeccy w sobotę w trzech godzinach wieczornych tym dzieciom, które zechcą na te lekcye przychodzić. To znaczy innemi słowy, że nauka ta będzie tylko jeszcze dla formy objęta programem szkolnym, bo trudno przypuścić, że znaczna część młodzieży będzie w niej uczestniczyła, i będzie słuchała przez 3 godziny wieczorne wykładu jakiegoś pana profesora na temat religii, zamiast zabawiać się na świeżem powietrzu. A nadto projekt nie daje żadnej rękojmi, że wszyscy owi profesorowie świeccy uczyć się będą w duchu prawowiernym, bo władze kościelne nie będą miały prawa do kontrolowania ich wykładów!

Do tego więc doszło w »katolickiej« niegdyś κατ' ἐξοχήν Hiszpanii, że reprezentacya ludności uchwala takie projekty!

Spodziewać się jednak można, że władze rządowe odmówią swojej aprobaty tej uchwale. (Uczynił to już »alcalde« (prezydent miasta) Barcelony, wywołując przez to ogromne oburzenie w obozie liberalnym. Obecnie bowiem ministeryum, którego prezydentem jest p. Maura, trzyma się pewnych zasad konserwatywnych i usiłuje położyć tamę prądom destrukcyjnym. Niedawno n. p. przeprowadziło w Kortezach ustawę, ograniczającą o tyle wolność prasy, że odtąd nie wolno dziennikom szkalować ojczyzny i wojska a teraz wniosło projekt ustawy, która ma przeszkodzić propagandzie haseł anarchistycznych.

W niedzielę wielkanocną odbyły się tu aż trzy kongresy: młodzież republikańska uchwaliła wysłać deputacyę na przeniesienie zwłok Zoli do Panteonu (przez co sobie sama najgorsze wydała świadectwo); anarchiści zaprotestowali przeciw projektowi ustawy anti-terrostycznej (o którym właśnie wspomniałem) a katolicy przeciw szkole bezwyznaniowej i dwupłciowej (program rady miejskiej obejmuje także wspólne nauczanie chłopców i dziewcząt). Zgromadzenie katolików było imponujące, wygłoszono mowy bardzo energiczne a około trzystu czasopism i stowarzyszeń zgłosiło swoje przystąpienie do uchwał wiecu.

Wypadku żadnego nie było, co świadczy najlepiej o tem, że usposobienie ogółu ludności jest stosunkowo spokojne, — prawda, że na wszystkich ulicach pełno jest policyi, uzbrojonej w rewolwery i szpady i że rząd pilnie czuwa nad anarchistami.

Miasto samo jest bardzo piękne i pełne widoków malowniczych. Przypomina ono poniekąd Neapol swojem położeniem nad błękitną zatoką i swojem życiem ulicznem. Trzody kóz, które doi się na ulicy przechodzą przez miasto. Tu i ówdzie zasiadają pod kamienicami muzykanci z gitarami a wkoło nich gromadzą się tłumy słuchaczy, tamując przejście. Dużo widzi się ludzi pięknych, wesołych, uprzejmych, i sympatycznych. Malowniczych jednak katolońskich strojów narodowych szukałem daremnie: chłopi przyjeżdżają do miasta nędznie odziani, tylko gdzieniegdzie okazały się czerwone czapki, barwne przepaski, szerokie szale, które nosi ludność tutejsza.

Katedra barcelońska należy do najcenniejszych pomników hiszpańskiej architektury gotyckiej. Bardzo ciekawy jest stary kościół św. Pawła, zbudowany w r. 914 przez hr. Wilfreda II. Z w. XIV pochodzi imponujący kościół: »Santa Maria del Mar«. — Aulę uniwersytetu zdobią dobre obrazy historyczne (Borras'a, Boixerras'a i innych) i portrety znakomitych Hiszpanów, między którymi są także wizerunki św. Rajmunda de Pennafort i Suareza. Na »Plasa de la Paz« wznosi się najokazalszy zapewne pomnik, jaki dotąd wystawiono Kolumbowi: wysokość jego wynosi 60 metrów; cokół zdobią dobre płaskorzeźby, postaci alegoryczne a otacza go ośm lwów bronzowych. *X. A. P.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Zabór austryacki. Dyskusya galicyjska.

Mieliśmy więc zapowiedzianą oddawna rozprawę parlamentarną o sprawach galicyjskich, wywołaną znanymi wnioskami nagłymi posłów ruskich. Cała dyskusya, w której wysunięto jakby z rozmysłu na samo czoło ruskie żywioły najradykalniejsze i najwstrętniejsze, wykazało dowodnie i dalej stojącym, iż mamy tu do czynienia z najzupełniej kulturą, aspiracyami i etyką obcym nam światem. To też zwycięstwo po stronie naszej nie tyle w odrzuceniu tych wniosków, ile w wyrobionym dzięki tej dyskusyi przekonaniom u obcych o wielkim niebezpieczeństwie tego barbarzyństwa, z którem my tu w Galicyi walczyć musimy. W tem widzimy rzetelny zysk kilkudniowych rozpraw. Ciekawi są też przyjaciele ukraińców, popieranych przez przeważną liczbę kleru grecko-katolickiego. Pp. Daszyński i Masaryk, to wiele mówiące nazwiska. Pierwszy mścił się na społeczeństwie, że ono go jakoś znać nie chce; drugi nie może strawić faktu, iż jego propagowana przez żydków z „N. Fr. Presse" wolnomyślność, w naszym narodzie pokupu nie znajduje. Inni, skądinąd nam nieprzychylni, zawstydzeni milczeli, lub jawnie przyznają, że się na ukraińcach nie poznali.

Przyjaciele ukraińców. Polak jenerałem kamedułów.

Jak donosi „Kath. Kirchenzeitung" z Rzymu, wybrano na odbytej niedawno kapitule w klasztorze niedaleko Frascati na generała całego zakonu Polaka. Szkoda, że pismo to nie podaje nazwiska elekta. Już dawno Polacy mogli wybierać jenerała swojej narodowości, mając w zakonie liczebną przewagę. Postronne jednak wpływy stawały temu na przeszkodzie. Obecnie wpływy te widocznie nie były dość silne, by takiemu wyborowi, Włochom szczególnie niemiłemu, przeszkodzić. Rzecz szczególna, iż do tak ostrego zakonu garną się od dłuższego czasu przeważnie Polacy.

Francya. Pielgrzymka francuska u Ojca św.

Dnia 23. b. m. miało miejsce posłuchanie u Ojca św. pielgrzymki francuskiej przybytej w liczbie kilku tysięcy, pod przewodnictwem arcybiskupa paryskiego Hammet. Wiadomo już z dzienników, iż wbrew oczekiwaniu wielu nawet biskupów francuskich, Ojciec św. nie zaaprobował projektu utworzenia t. zw. kas wzajemnych ubezpieczeń dla kapłanów, którym rząd chciał przekazać niektóre przez siebie zrabowane kościołowi fundusze. Oczekiwano więc powszechnie na tem posłuchaniu pielgrzymów francuskich enuncyacyi Ojca św. tłumaczącej decyzyą Stolicy świętej w sprawie takiej dla kleru i Kościoła francuskiego doniosłości. I nie omylono się. Po przeczytaniu adresu francuskiego przez arcybiskupa paryskiego, w którym przywiązaniu i wierności katolików francuskich dobitny dano wyraz, Ojciec św. widocznie wzruszony dziękował za wyrazy wierności i miłości tej słusznie pierworodnej córki Kościoła nazwanej Francyi i zaznaczył, iż właśnie w tych dniach widział się zmuszonym miłości i ofiarności Francuzów nową nałożyć ofiarę przez odrzucenie projektu, którym, zdaniem Ojca św. rząd ograbiwszy do cna Kościół, chce przez tę ustawę rozerwać w dodatku i jego jedności z Rzymem i Episkopatem, ignorując w przedłożonej ustawie, jakby ich egzystencyę samą. Na to nie mógł w żaden sposób pozwolić Ojciec św. Wolał więc zrzec się pozornych korzyści wypływających z tej ustawy, aniżeli narazić na szwank najistotniejsze interesa Kościoła. Taki był mniej więcej tenor przemówienia Ojca św., wygłoszonego ze wzruszeniem i wielkiem ciepłem. Kas więc wzajemnej pomocy kapłanów, jak je proponowali zwolennicy ustawy rządowej, nie będzie. W jaki sposób zaradzić się ma gwałtownej potrzebie zaopatrzenia starych, do pracy niezdolnych kapłanów, jak zaradzić niedalekiemu niebezpieczeństwu wyludnienia seminaryów duchownych itp. — o tem mają radzić na nowo biskupi francuscy.

Holandya. Kongres katolicki w Haarlem.

Mimo rozwoju życia katolickiego w Holandyi, katolicy tamtejsi nie mogli się dotychczas zdecydować na zwołanie ogólnego zjazdu katolickiego. Rok rocznie jednak zwołują się zjazdy dyecezyalne, a każdy taki zjazd zaznacza się znacznym postępem w rozwoju katolicyzmu holenderskiego.

W maju b. r. odbył się taki zjazd w Haarlem pod przewodnictwem adwokata z Hagi Dra Fifeuma. Po nabożeństwie w nowo wystawionej a wspaniałej katedrze i przemowie miejscowego biskupa, Msgra Colliera, zabrano się do właściwej pracy. Tym razem obrady poświęcono ważnej sprawie — lekturze. Na kilkunastu posiedzeniach obradowano nad bibliotekami ludowemi, literaturą, sztuką i dziennikarstwem. Rozprawy wykazały nader doniosły postęp katolików tamtejszych w ostatnich zwłaszcza latach. Szczególną zwrócono uwagę na dziennikarstwo, które jakkolwiek w rozwoju będące, nie odpowiada jednak na razie wymogom uzdalniającym je do skutecznej z prasą liberalną konkurencyi. Zbyt, jak się zdaje, wielka ich liczba jest temu przyczyną. Pomyślano więc o furyi kilku takich pism katolickich i pracy nad rozwojem mniejszej ale po europejsku redagowanej liczby dzienników.

Bibliografia.

X. Dr. M. Sieniatycki, *Dogmatyka szczegółowa*. — Podręcznik szkolny. Lwów 1908, str. VII+205 w ósemce.

Wartość każdego podręcznika, a zatem i rzetelna jej ocena, zależy od należytego ujęcia i jasnego zdania sobie prawdy, jakie przeznaczenie ma ten podręcznik spełnić po myśli autora? Ta okoliczność niechaj posłuży za wyjaśnienie, dlaczego mimo sprawozdania o tym podręczniku już umieszczonego w tej Gazecie (Nr. 13) jeszcze do niego powracamy.

Autor wydał swą Dogmatykę jako podręcznik szkolny, t. j. dla młodzieży szkół średnich przeznaczony, a zatem nie miał zamiaru podać w nim materyał dla wykładu katechety (Lehrbuch), ale podręcznik dla ucznia, aby z niego mógł nie tylko »odświeżyć w pamięci i utrwalić« sobie to, co słyszał podczas wykładu katechety, ale wprost nauczyć się i zapamiętać na całe życie (Lernbuch). Trzeba bowiem w dydaktyce szkolnej liczyć się zawsze i na seryo z tem, co zresztą sam autor w swym referacie[1]) o nauczaniu szkolnem Dogmatyki w ślad za X. prał. Lenkiewiczem przyjmuje, że uczeń z natury zwykle roztargniony, często zresztą czem innem podczas lekcyi szkolnej zajęty, mało co wyniesie z wykładu, a cały zasób swej wiadomości religijnej będzie musiał czerpać przeważnie, a może i jedynie, tylko z podręcznika. Zatem w podręczniku zawierać się powinno to wszystko, ale też tylko to, co jest nieodzowne dla jego wykształcenia religijnego i wyrobienia w nim mocnego przekonania katolickiego. Doświadczenie zaś codzienne uczy, że to tylko wnosimy w życie jako trwały nabytek duchowy i to jedynie umiemy dobrze, czegośmy się dobrze wyuczyli i wiernie zapamiętali. Wszystko inne jest raczej rozumowaniem, często tylko rezonowaniem i szwadronowaniem, ale nie wiedzą rzetelną. Owóż i rzetelnej wiedzy religijnej w szkole nie nabędzie uczeń z samego słuchania, a nawet czytania, ale tylko przez porządne uczenie się na pamięć, przez dalsze studyum gruntowne. I na to są właśnie podręczniki szkolne, aby z nich — niezależnie od najudatniejszego nawet wykładu a niedomagań pamięci słuchacza — mógł sobie uczeń w dalszym toku przyswoić przez memorowanie i częste powtarzanie ten materyał naukowy, który mu jest potrzebny i ma pozostać trwałem jego mieniem na zawsze. Tego postulatu zdrowej dydaktyki nie zdołają zmienić, ani nawet osłabić, pretensye nowomodnych dyletantów w zakresie nauczania szkolnego, żądających dość głośno, aby uczeń już w szkole nauczył się wszystkiego dostatecznie z samego wykładu. Inna jest rzecz ograniczenie materyału pamięciowego, a inna zupełnie jego rugowanie. Kto miał sposobność uczyć dłużej w szkole, ten chyba się zgodzi, że bezpośredniem następstwem takiego systemu nauczania byłoby niechybnie obniżenie, jeżeli nie zanik, rzetelnej wiedzy, a jej miejsce musiałyby zająć: frazes i blaga.

O zawartości podręczników szkolnych wypowiedziała się urzędownie Rada szkolna krajowa w okólniku (z dn. 24. sierpnia 1898 l. 20442) do autorów i wydawców w tych — między innymi — przepisach: »Książka szkolna zawierać powinna jedynie ten materyał naukowy, który uczeń ma sobie przyswoić. Wszystko, co wychodzi poza ten zakres, nienależy do książki szkolnej. — Wykluczyć więc z niej należy wszystko, co ma służyć jedynie za wskazówkę lub przypomnienie dla nauczyciela; pominąć też wszelkie objaśnienia, pozostawiając je żywemu słowu nauczyciela«.

Obaczmyż całkiem objektywnie, jak wygląda podręcznik szkolny Dogmatyki X. prof. Sieniatyckiego wobec tych przepisów, a nawet własnych poglądów autora, zestawionych w wspomnianym wyżej referacie.

1. Autor usiłował widocznie w tym podręczniku dogodzić nowym reformatorom nauczania szkolnego, więc nawet w zakresie Dogmatyki postanowił naukę tę możliwie jak najbardziej ułatwić, uzmysłowić i uprzystępnić. W tym celu posługuje się w wykładzie prawd wiary — wbrew zastrzeżeniu Rady szkolnej — przeważnie tylko objaśnieniami, nie tyle słownemi, co rzeczowemi, przekonany, że »dobre objaśnienie prawie zawsze starczy za dowód« i ufny, że przez same objaśnienia staną się prawdy wiary zupełnie zrozumiałemi. Do takich objaśnień wciąga autor sporo analogii, porównań i podobieństw ze świata codziennego. Ten zamiar udał się autorowi w całości, ta zarazem część wykładu daje istotną wartość jego podręcznikowi. Zadanie to zresztą samo w sobie bardzo chwalebne i wszelkiego uznania godne, gdyby tylko nie było w tym podręczniku zbyt przesadnie zastosowane. Autor bowiem wierny swej tendencyi a) usiłuje mnóstwo rzeczy objaśniać, bez względu czy chodzi o szczegóły trudniejsze, czy przez się już zrozumiałe; czy chodzi o nowe pojęcia, czy też znane już z poprzedniego wykładu (jak np. oświeca rozum, wzmacnia wolę, chroni przed pokusami itp.) Objaśnienia wyczerpujące mają swe uprawnienie na niższym stopniu nauczania katechizmu, gdzie chodzi przeważnie o zbliżenie dziatwie najpierw pojęć trudniejszych, a następnie całej tezy katechizmowej. Nikt ich jednak nie wkłada w sam tekst katechizmowy, lecz zwykle opracowuje się w tym celu oddzielne komentarze katechizmowe, wyłącznie do użytku katechetów. Wątpić jednak można, czy przy nauce Dogmatyki, gdzie już po raz trzeci w toku szkolnego nauczania religijnego wyjaśnia się doroślejszej młodzieży prawdy wiary, potrzebne są jeszcze i takie objaśnienia, które uczeń miał sposobność już dwukrotnie przedtem słyszeć przy wykładzie katechizmu. Przy niektórych objaśnieniach b) gromadzi autor obok siebie za wiele podobieństw dla jednego szczegółu (por. str. 64, 81, 114 itd.). Dydaktyka zadowalnia się zwykle jednem podobieństwem, byle trafnie dobranem, a żąda tylko, by je szczegółowo rozwinąć w odniesieniu i zastosowaniu do potrzebnego przedmiotu. Obawia się bowiem, aby przez nagromadzenie liczniejszych szczegółów, a tem samem większej ilości wrażeń, uwaga zamiast skupienia nie uległa rozprószeniu. Ponadto szereg cały takich porównań czy podobieństw w podręczniku szkolnym zamienia go niejako w zbiór materyałów dla katechety przydatnych, ale dla ucznia zbędnych. Wreszcie c) w stałem usiłowaniu objaśniania każdego szczegółu przez analogię lub podobieństwo znalazły się w podręczniku obok trafnych i dobrze dostosowanych także mniej trafne, które chyba z trudnością i daleką drogą doprowadzić zdołają do zamierzonego zadania, a mogą je nawet osłabić i skrzywić (np. str. 81, 150, 151 itp.), bo ostatecznie każde porównanie z natury swe kuleje, co zresztą sam autor uznaje, gdy przy tajemnicy Wcielenia ostrzega, by ktoś, obaczywszy w przytoczonych tam podobieństwach także różnice między niemi a tą tajemnicą, nie dziwił się temu, bo te podobieństwa nie mogą podać rzeczy takiej samej i całkowicie wyjaśnić tę tajemnicę, ale tylko uzmysłowić ją i rozumowi uprzystępnić (81).

2. Najwięcej wskutek zbytniego nagromadzenia analogii i porównań ucierpiały w podręczniku X. Sieniatyckiego definicye, zwłaszcza w obszernej partyi od stworzenia do sakramentów. Autor zdaje się nie przywiązywać do nich należytej wagi, nie uwydatnia ich należycie, ale zestawia je jakby samemu uczniowi, aby je sobie na podstawie danego objaśnienia sam wytworzył. Rzecz wszędzie zawodna, a w dogmatyce nawet śliska. A jeżeli się potrzebne tezy dogmatyczne nawet znajdują, to zwykle dopiero śród uzupełniających dodatków, gdzieś skromnie na tle ostatniem, gdzie się usuwają zazwyczaj w dal mroczną, zacierają i prawie gubią niepostrzeżone. Sztuki prawdziwej dokaże uczeń, jeżeli te najważniejsze dla nauki religii szczegóły, te cenne perły zdoła szczęśliwie wyłowić z całego

[1]) Pamiętnik pierwszego kursu katechetycznego str. 70—89.

morza porównań i podobieństw. I jeszcze jedno. Po wzajemnym stosunku katechizmu do dogmatyki należałoby oczekiwać, że choćby najgłówniejsze definicye w dogmatyce szkolnej powinnyby być zgodne, a nawet identyczne, z obowiązującym katechizmem, aby ta wzajemna harmonia była — nie tylko wyrazem zarówno jedności Kościoła w nauczaniu, jak ciągłości i dalszego rozwoju tejże samej nauki katechizmowej ze szkół niższych na wyższym stopniu nauczania w szkołach średnich — ale także ułatwieniem samejże nauki religii. U nas tymczasem — mimo przepisanego przez cały episkopat a więc obowiązującego katechizmu — co nowa książka w tym przedmiocie, to zarazem nowe definicye. Szanowny autor Dogmatyki ma pod tym względem także własne upodobania. Raz jest zbyt skąpym w takich tezach, innym razem nadto hojnym; zaczem wychodzą z pod jego pióra nierzadko definicye albo zbyt ciasne, albo zbyt obszerne. Tak np. u autora jest Msza św. tylko »ofiarą składaną Bogu« (str. 156); natomiast łaska poświęcająca występuje po całym szeregu porównań, (jak: kryształ, balsam, dzika łodyga, kwas, żelazo) w tem brzmieniu: »Łaska poświęcająca jest darem bożym nadprzyrodzonym, wlanym w duszę ludzką, który to dar uszlachetnia duszę, doskonali ją, przeradza, podnosi na wyżyny (!) boże, nastraja (!) jej sposób myślenia, jej pragnienia na pragnienia i myśli zbliżone do pragnień i myśli bożych«. Wątpić trzeba, czy możnaby utworzyć definicyę łaski w »słowach liczniejszych, ile możności jeszcze górniejszych«? A pominąwszy, że definicya ta jest teologicznie mniej ścisła i niedokładna, gdyż przy całej swej frazeologii nie zawiera przecież istotnego określenia katechizmowego o tej łasce, a mianowicie »iż daje życie nadnaturalne«, jest ona nadto dydaktycznie wadliwa, gdyż zamiast realnych znamion, do pojęcia łaski poświęcającej się odnoszących, wprowadza przenośnie, jako to: »podnosi na wyżyny boże, nastraja jej sposób myślenia« itd. Żadna gałęź nauki nie wprowadza metafor do definicyi, nawet do tak zw. opisowych. To, że na innem miejscu jest mowa także »o życiu nadnaturalnem« nie uchyla wcale konieczności, aby to właśnie znamię znalazło się w samejże definicyi.

3. Podobnie jak z definicyami ma się rzecz także z tak zw. d o w o d a m i w tym podręczniku Dogmatyki. W tym przedmiocie idzie autor również nowymi torami, odmiennymi od tych, jakie przyniosła wypróbowana wiekami metoda. Być może, że chce w tem dogodzić nowemu prądowi w nauczaniu, który na wszelkie »dowody« rzuca anatema, a posługując się tym wyrazem jakby straszakiem hipnotyzuje umysły nawet w sferze katechetów. Na to jednak zgodzić się trzeba, że wracając śladem planu naukowego w wyższych klasach szkół średnich prawie po raz trzeci do nauki o prawdach wiary, nie podobna ograniczyć się do takiego samego materyału i takiej samej metody, co w klasach niższych. Wszak powszechne jest dziś narzekanie na obniżenie wiadomości religijnych w sferach inteligencyi, ogólne też rozbrzmiewa przekonanie, że ten niedostatek trzeba usunąć, a zatem poziom wykształcenia religijnego już w szkołach średnich, skąd się przeważnie rekrutują kadry inteligencyi, koniecznie podnieść. Należy przeto od młodzieży tych szkół domagać się, aby umiała zdać sprawę nietylko z tego, w co wierzy, ale także, dlaczego tak wierzy, a tem samem należy jej podać kryterya i pobudki wierzenia, aby jej obsequium fidei stało się z czasem prawdziwie r a t i o n a b i l e, aby w niej wyrobić mocne przekonanie religijne i rzetelny charakter katolicki w dalszem życiu publicznem. Na te postulaty jest chyba zgoda powszechna, a tem samem i na to, że w zakresie nauczania katechetycznego w wyższych klasach trzeba wejść koniecznie na drogę wiodącą do rozumnego przekonania religijnego, bez względu czy ją się nazwie »dowodzeniem« czy »uzasadnieniem« tezy katolickiej. Jedynie w wyborze środków, zabezpieczających osiągnięcie tego zadania objawia się w bieżącej dobie pewna rozbieżność.

Autor postawiwszy zasadę: »Opuszczając dowody z Pisma św. i tradycyi, całą wagę położyłbym na dobre objaśnienie danej prawdy«, odstąpił przecie w praktyce cokolwiek od teoryi. Dał bowiem w swym podręczniku obok objaśnień nieco miejsca także uzasadnieniu prawd wiary. Tylko, że to uzasadnienie załatwia zazwyczaj krótkiem i sumarycznem: Tak uczy nieomylny Kościół. Ta metoda jest bez wątpienia wygodna i węzłowata, ale chyba, że na dzisiejsze potrzeby i warunki czasu równie nie wystarczająca, jak motywa do niej użyte. Dziś nie wolno już łudzić się, że »stajemy przed wierzącymi młodzieńcami, którzy wyglądają od nas pouczenia ojcowskiego, a nie głębokich argumentów, więc nie potrzebujemy się uzbrajać do nich w argumenty od stóp do głów, jakbyśmy szli na pokonanie Goliata«. Zgoda zupełna na »pouczenie ojcowskie«, ale takiem nie podobna chyba nazwać owego stereotypowego szablonu: »Tak uczy Kościół«. Takie lakoniczne pouczenie nie wystarczało nigdy, tem mniej w dobie spółczesnej i w tych warunkach, jakie przedstawia poziom religijno-etyczny dzisiejszej młodzieży szkolnej. Choćby się nie położyło zbytniej wagi na to, co ta młodzież w przeważnej większości na tym stopniu nauki już słyszała i czytała, choćby się zapomniało o wpływach postronnych, które tak fatalnie oddziaływują na jej kierunek religijny, to nigdy przecie zapomnieć nie wolno, że zarówno z naturalnego popędu jak pod wpływem ducha czasu jest ona dziś, więcej niż dawniej, opornie i krytycznie usposobiona w zakresie prawd i postulatów religijnych, nie zadowala przeto samem ojcowskiem pouczeniem, ale domaga się przekonania i argumentów, że się jej podaje istotnie prawdę o b j a w i o n ą a nie same domysły rozumowe. Chcąc zaś jakąkolwiek prawdę uzasadnić jako objawioną, nie powinno się ją oddalać od źródeł Objawienia, a więc Pisma św. i tradycyi, ale iść w ślad za ustaloną a chyba nieprzedawnioną metodą Kościoła w publicznem nauczaniu religijnem. Nie jest wprawdzie rzeczą doradzoną przesadzać w tym kierunku, wystarczy nieraz jeden cytat, byle klasyczny, poparty wierzytelną egzegezą tekstu i wskazówką, które w nim słowo służyć ma na uzasadnienie tezy dogmatycznej, ale przechodzić wprost do porządku nad Objawieniem niewolno. Zapatrywanie, jakoby Pismo św. tylko w niemieckich podręcznikach szkolnych potrzebne było do walki z protestantyzmem, a cytowanie Ojców Kościoła miało być tylko przestarzałym zabytkiem scholastyki, więc anachronizmem w nowych podręcznikach, jest co najmniej jednostronnem, jeśli nie dowolnem. Nie ma też obawy o przeciążenie pamięci młodzieży kilku cytatami z Pisma św., gdyż doświadczenie uczy, że młodzież przyswaja je sobie już przy historyi biblijnej bardzo wiernie i wcale łatwo. Podane w należytym doborze teksty z Pisma św. nie mają wcale na celu z uczniów zrobić teologów, ale tylko wierzących katolików, mających świadomość, że uczą się prawdy objawionej, że otrzymują dostateczne pobudki wierzenia. Podobnie ma się rzecz z Ojcami Kościoła; 15—20 trafnych z nich wyimków w całej książce nie obarczy jej chyba zbytnio, a przecie zwróci uwagę na pierwszorzędnych świadków tradycyi kościelnej. Jeżeli się w tym dziale przytacza szczegóły z soborów, herezyi, liturgii i starych zwyczajów, a pragnie uwzględnić nawet historyę dogmatu i odkrycia archeologiczne (Pamiętnik, 89), to czem wytłumaczyć wstręt przed patrystyką, tak homeopatycznie tylko podaną? Wszak słyszy się o projektach rządców Kościoła, by do rąk młodzieży podać Pismo św. (ibid. 6) a nawet chrestomatyę z oryginalnych wyimków patrystycznych. *Numquid aliud judex nuntiat, aliud praeco clamat?*

Przez szczęśliwą jednak niekonsekwencyę nie idzie autor Dogmatyki szkolnej w praktyce tak daleko, jak występuje w teoryi. W tekście bowiem jego podręcznika zawiera się sporo cytatów z Pisma św., nie brak nawet wyimków z Ojców Kościoła. Tylko że w ich zastosowaniu jest wielka rozmaitość, prawie że przypadkowość. Tak np. Ojców Kościoła (zwłaszcza św. Jana Złotoustego) przytacza autor wielokrotnie, ale nie jako świadków tradycyi w uzasadnieniu prawd wiary, lecz tylko jako wzory i powagi w zachętach i zastosowaniach praktycznych (np. str. 78 itd.). Jeszcze bardziej chimerycznie i kapryśnie postępuje z cytatami Pisma św. Są w podręczniku liczne ustępy, gdzie ich jest w bród, może nawet za wiele (np. wniebowstąpienie itp.), są jednak inne, częstokroć bardzo ważne dogmaty, (jak np. natura i powszechność grzechu pierworodnego, Niepokalane Poczęcie, zasługa dobrych uczynków, ustanowienie niektórych Sakramentów itd.), gdzie ich niema wcale. Dlaczego w jednych umieścił ich za wiele, a w innych zupełnie wypuścił, odgadnąć trudno, bo w tem niema systemu ani zasadniczej normy, ale jakby jakiś dyletantyzm dydaktyczny, chyba dlatego, aby uniknąć szablonu, nie utrudniać pojęcia dogmatu, a sam podręcznik uchronić, aby się nie stał — broń Boże — drewnianym, sztywnym i bez życia, ale raczej interesującym.

Najchętniej jeszcze posługuje się autor w uzasadnianiu dogmatu racyami rozumowemi; tam nawet, gdzie niema miejsca dla Pisma św., gdzie prawda objawiona oparta jest cała tylko na sakramentalnem. »Tak uczy Kościół«, nie braknie przecie nigdy argumentów rozumowych. Metoda ta jest sama w sobie pożyteczna i wcale pożą-

dana na tym stopniu nauczania religijnego i na ogół udała się autorowi wcale dobrze, byle nie była tak ekskluzywna wobec luki argumentów z Objawienia, a przynajmniej nie tak nad niemi dominująca. Takie argumenta mogą mogą mieć w dogmatyce zupełnie dobre zastosowanie obok dowodów pozytywnych, ale nigdy same bez tamtych. Z natury bowiem takich argumentów wypływa, że zamiast ewidencyi, zamiast mocnego przekonania o konieczności, spotyka się często jedynie wzmianki o stosowności pewnej prawdy lub przydatności pewnego zarządzenia (»należało wyglądać, spodziewać się, oczekiwać« itp. por. str. 183), a tam gdzie miasto tak zw. racyi teologicznych wprowadza się czysto rozumowe muszą się niejednokrotnie zaplątać nawet słabsze, nie wytrzymujące w szczegółach krytyki (por. np. str. 187 p. 1 i 2 »błogi pokój«).

Dalszem następstwem tak jednostronnego kierunku być może i to, że wykład prawd wiary zamiast charakteru pozytywnego i naukowej ścisłości staje się pobieżnym i powierzchownym, że młodzieniec zamiast pożywnego chleba nauki prawdziwie objawionej dostaje słodkie karmelki w postaci urozmaiconych objaśnień i wywodów czysto rozumowych, które ponadto wymagają do zupełnego przedstawienia dość często więcej czasu i skupienia, aniżeli jędrne teksty biblijne, a mimo to nie zdołają z całem bezpieczeństwem zamknąć wrota, aby się do umysłu młodego nie wcisnęły przeciwne argumenta rozumowe, z któremi tak często i łatwo spotyka się dokoła.

(Dok. nast.). *X. Jougan.*

Der Sonntag. Predigten auf alle Sonntage des Kircheneujahres, nebst Jubiläums- und Abschiedspredigt, gehalten bei St. Ludwig in München von Dr. theol. Franz Klasen. 2. Aufl. Regensburg 1906. Manz. 8° (VIII, 408) M. 5·80.

Kazania niniejsze wygłosił znany już w literaturze kaznodziejskiej autor przed audytoryum wykształceńszem; obrał sobie zatem odpowiednie tematy, jak np. o stosunku naszym do przyrody, o pokorze w życiu społecznem, o Chrystusie i kulturze, o wpływie rodziny na wyrobienie charakteru i t. p. Wszystkie niemal kazania odznaczają się jasnym i logicznym układem, świeżością i bogactwem myśli, gruntowną i trafną argumentacyą i oratorskim polotem. Jeżeli Klasen ze swoich kazań zasadniczo wyklucza »Legenden und nachbiblische Wunder«, to z pewnością idzie za daleko. Na ambonie niema, co prawda, miejsca dla bajek i legend, których nieautentyczność historycznie jest udowodnioną (konst. Leona X. Supernae 19. grudn. 1516); ale znowu nie wszystkie cuda, przekazane nam przez tradycyę i historyę, są bajkami! Przyznać też należy, że kazania niektórych, zwłaszcza ludowych kaznodziei o piekle grzeszą jawnem nieprawdopodobieństwem i naiwną przesadą; lecz odnośnym kazaniom Klasena, mającym być, jak wogóle wszystkie jego kazania »zeitgemäss«, brak tej siły, która bądź co bądź powinnaby napełnić słuchaczów zgrozą i obawą wiecznego potępienia. I dzieci naszego wieku, chorujących tak powszechnie na nerwy, nie trzeba zanadto oszczędzać. *Ro.*

Unter dem Kreuze des Herrn. Fünf Fastenvorträge von Dr. Fr. K. Hümmer. Regensburg 1907. Manz 8° str. 119. M. 2.

Kazania ks. Hümmera, dobrze obmyślone i starannie opracowane, dowodzą wielkiego talentu oratorskiego. Piękne jego i pełne gorliwości kapłańskiej słowa zdolne są rozbudzić w sercach słuchaczy zgasłą wiarę i przytłumioną namiętnościami miłość do Ukrzyżowanego. Liczne cytaty z autorów świeckich, zwłaszcza w 3 kazaniu, usprawiedliwi może cel po części apologetyczny kazań niniejszych. *Ro.*

Wiadomości dyecezyalne.

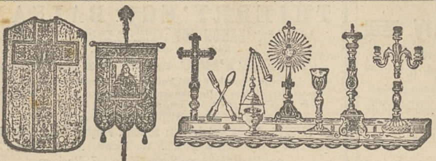
Archidyecezya lwowska ob. łac.

Umarł Ks. Jubilat Franciszek Nieświatowski, emerytowany katecheta gimnazyalny w 78 roku życia, a w 51 roku kapłaństwa. R. i. p.

Dyecezya przemyska ob. łac.

Instytuowani: ks. Jan Gałuszka, na probostwo w Leszczawie dolnej, ks. Jan Lewkowicz, na probostwo w Zagórzu starym.

Konkurs na probostwo w Mużyłowicach rozpisano z terminem do 20 czerwca b. r.



Najładniejszy wybór: Chorągwi, Welonów, Monstrancyi, Relikwiarzy, Kielichów, Puszek, Pająków, Lamp, Żelazek do pieczenia opłatków.

J. WYPASEK

WE LWOWIE, ul. KRAKOWSKA L. 5.

poleca Wielebnemu Duchowieństwu swoją odznaczoną medalami srebrnemi

Pracownię brązowniczą

i skład wszelkich przedmiotów i przyborów kościelnych własnego wyrobu

ze złota, srebra, chińskiego srebra (alpaka), bronzu itd. wykonanych trwale, gustownie, po cenach najsumienniejszych.

Zakład rzeźby artystycznej

WOJCIECHA SAMKA

W BOCHNI

odznaczony medalem na wystawie krajowej we Lwowie 1894 r. i złotym medalem na wystawie w Tarnowie 1905.

wykonuje **figury Świętych z drzewa**, wobec których nie potrzeba sprowadzać wyrobów zagranicznych, **ołtarze, feretrony** i wogóle wszelkie roboty rzeźbiarskie. **Figury Świętych przy drogach i pomniki** z kamienia, marmuru i granitu. Przyjmuje wszelkie odnowienia i reperacye.

Na żądanie wykaże się licznemi świadectwami WW. Duchowieństwa i pp. Architektów.

Celem przekonania się, że wyroby moje są lepsze od zagranicznych proszę zrobić zamówienie. Nie brak nam rąk do pracy, niechże więc grosz zostanie w kraju zamiast wędrować zagranicę.

Jezierzany ad Czortków 24. IV. 1908.

Łaskawy Panie!

Figurka do Bożego Grobu przez Pańską firmę dla kościółka w Zalesiu nadesłana, zdążyła prawie na czas, kiedy była potrzebna; a tak się wszystkim spodobała, że przez ostatnie dwa dni Wielkiego Tygodnia wyjść z kościoła nie chcieli do późnej nocy, żeby się jej do syta napatrzeć. Po świętach naszych (we wtorek) byłem tam z nabożeństwem; jeszcze jej nie schowali, ale ją oświetlają, modlą się, śpiewają — i tak chcą aż do ruskich świąt przetrzymać. Coś to Pan narobił swem arcydziełem w tym zakątku, gdzie dotąd tylko w bohomazy wierzono! Za rychłe i tak piękne wykonanie tej figury miło mi Panu przesłać wyrazy uznania i podzięki razem z życzeniem, by pracownia Pańska tak chlubnie (dotąd jeszcze nie wszędzie znana) rozwijała się dalej jak najpomyślniej, w czem niech dopomoże Niepokalana Matka, której od dziecięcych lat byłeś Pan gorącym czcicielem, jako nasz kleparski sodalis.

Z poważaniem
X. Józef Sokołowski
Superyor XX. Misyonarzy
i pleban jezierzański.

OGŁOSZENIE.

Wina do Mszy św. dostać można u ks. Petra Krawecza w Hanuszowcach p. loco. Szepes megya. Węgry. Stołowe wino od 50 h, 60 h, 70 h, 80 h. i 1 kor. liter. Tokaj samorodny od 1 k, 1 k. 30 h, 1 k. 60 h, 2 k. i 3 k. liter. Tokaj słodki „Assu" od 5 k., 6 k. i 7 k. liter.

KRAKOWSKI ZAKŁAD WITRAŻÓW

oszkleń artystycznych i fabryka mozaiki szklanej

S. G. ŻELEŃSKI

Kraków, ulica Swoboda l. 2.

Telefon Nr. 137. (Dom własny)

pod kierunkiem art. Jana Bukowskiego artysty malarza.

Dawniej pp. Prof. W. Ekielski & A. Tuch.

Wszelkie prace w zakresie art. malarstwa na szkle (2 piece gazowe do wypalania). — Nowość: **mozaika prawdziwie wenecka. — Ceny wskutek wielkich zapasów szkła pozostają dotychczasowe.** — Kosztorysy i fachowa porada bezpłatnie.

Założona w r. 1892

Pracownia haftów art. i szat liturgicznych

pod wezw. św. Antoniego

w Tarnowie, ul. Krakowska

poleca własnego wyrobu: szaty liturgiczne, bieliznę kościelną, sztandary dla Stowarzyszeń, hafty salonowe i t. d.

Przyjmuje naprawę tychże. Wykonanie staranne. Ceny możliwie najniższe. Cenniki na żądanie.

Rok założenia 1789.

FRYDERYK SCHUBUTH i SP.

LWÓW, RYNEK L. 45.

poleca:

Świeży transport HERBATY

aromatyczne pół klg. po koron 3·20, 3·80, 4·60, 6 i 8 K.

Znakomite okruchy herbat pół klg. po koron 3 —, 3·60 i koron 4·60.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.